GERHART
HAUPTMANN.

HANUSIA

Przekład
Maryi Konopnickiej.

WARSZAWA.
1899.

Wydawnictwo Władysława Okręta.

Skład główny w księgarni i składzie nut
w Warszawie.

HANUSIA.

GERHART HAUPTMANN.

HANUSIA

przekład

MARYI KONOPNICKIEJ.

WARSZAWA
Wydawnictwo Władysława Okręta.

1899.

Druk E. Lubowskiego i S-ki Szpitalna № 10.

MUZEUM MARII KONOPNICKIEJ
BIBLIOTEKA
w ŻARNOWCU
1523-26,2

Дозволено Цензурою,
Варшава, дня 28 Іюня 1898 г.

Mojej żonie

Maryi z Thienemannów.

Dzieci rwą czerwoną koniczynę, oskubują ostrożnie płateczki kwiatowe i wysysają bladą, delikatną łodyżkę. Nieco słodyczy spływa im na język. Jeśli ta moja praca choć tak słodką będzie, nie zawstydzę się mojego daru.

Gerhart.

Zastrzega się prawa sceniczne tłomaczenia.

Część I.

OSOBY:

HANUSIA.
GOTTWALD, nauczyciel wiejski.
SIOSTRA MARTA, Diakonisa.
PIWONJA
HETA
PLESZKE
HANKE
} mieszkańcy domu ubogich.
SEIDEL, drwal.
BERGER, wójt.
SZMIT, stróż domowy.
Dr. WACHLER.

Ukazują się Hanusi w gorączkowem widzeniu:

Mularz Mattern—jej ojciec. Postać kobieca—jej zmarła matka. Wielki czarny anioł. Trzy jasne anioły. Diakonisa. Gottwald i dzieci ze szkółki wiejskiej. Mieszkańcy przytułku: Pleszke, Hanke i inni. Seidel. Czterech młodzieńców w bieli. Nieznajomy. Chóry jasnych, małych i dużych aniołów. Orszak pogrzebowy. Kobiety.

Wieś górska. Izba w domu ubogich. Nagie ściany, drzwi w pośrodku, na lewo małe okienko z drobnemi szybami. Pod niem koszlawy stół i ławka. Na prawo tapczan i siennik na nim. W głębi u ściany piecyk, ławka i drugi tapczan, na którym także siennik i nieco łachmanów. Burzliwa noc grudniowa. U stołu, przy świetle łojowej świecy, śpiewa z książki od nabożeństwa Piwonja, stara obdarta żebraczka.

PIWONJA

śpiewa:

Tak bądź nam ku pomocy,
Ty Panie Jezu Chryste!
Ach wybaw-że nas z mo.....

Wchodzi Heta, około trzydziestu lat mieć mogąca, nicwarta dziewka, z grzywką. Na głowie gruba chustka, pod pachą tobołek, zresztą lekko i biednie odziana.

HETA

chucha w ręce, nie puszczając tobołka z pod pachy.

O Jezu, Jezu! A to psi czas!

Wypuszcza na stół tobołek, ciągle chuchając w ręce zgrabiałe i przydeptując sobie na przemian nogi, obute w podarte trzewiki.

Już też dawno nie było takiego zimniska!

PIWONJA.

Cożeś tam przyniosła?

HETA

syka przez zęby i piszczy z bólu, siadłszy na ławce przy piecu, gdzie usiłuje ściągnąć przemokłe trzewiki.

Aj!... Aj!... Moje palce! A to piecze, jak ogień.

PIWONJA

rozwiązała tymczasem tobołek, w którym widać chleb, paczkę cykoryi, tutkę kawy, parę pończoch i inne rupiecie.

Toć ta przecie może i dla mnie co skapnie....

HETA

zajęta ściąganiam trzewików nie zważała na Piwonję. Teraz rzuca się jak jastrząb na swoje manatki i zgarnia je razem.

Piwonja!

Jedną nogą bosą, drugą jeszcze w trzewiku, biegnie z tobołkami do tapczanu w głębi.

Akurat! Jeszcze czego! To milę drogi będę latała, prawda? Jak pies będę marzła, prawda?.. Żeby wam podtykać! Co?

PIWONJA.

Zamknij gębę, stare pudło! Będę ci się tam łakomiła na tę trochę łachów, coś je wyżebrała po świecie!

Wstaje, zamyka książkę i ociera ją starannie o spódnicę.

HETA

pakując manatki pod siennik.

Ciekawam, kto się więcej nażebrał? Ja, czy wy? Przecieżeście nic innego nie robili od samej małości, przez całuśki wiek! Mały, duży wie!

PIWONJA.

A ty się i na co insze puszczałaś! Wiesz? Co ci to proboszcz powiedział? Co? Inaczej ja się trzymała, kiedym młodą dziewką była!

HETA.

A juści! Nie czemużeście w kwestunku siedzieli.

PIWONJA.

Siedziałam, to siedziałam! A ty możesz się tam jeszcze dostać, kiej chcesz! Wiesz? Niech ja się jeno kiedy ze żandarmem zejdę! Już ja jemu świeczkę w rękę wsadzę! Zobaczysz! Mówię.... dziewucha, stul gębę, pókim dobra!

HETA.

Taak?.. No to za jednym zamachem i do mnie żandarma przyślijcie! To i ja mu co powiem!

PIWONJA.

A gadaj sobie, flądro, co ci się spodoba!

HETA.

A kto szynkarzowemu chłopakowi palto ukradł, hę?

PIWONJA

zamierza się, jakby chciała plunąć na Hetę.

HETA.

Piwonja!.. Psssia....
Widząc że nie pluje — No! przecie!

PIWONJA.

Poszła won! Nie potrzebuję twojej darowizny!

HETA.

A jużci! Bo wam też nic nie dam!

Przybywają: Pleszke i Hanke, wpędzeni niemal w podwórko zawieją, która się z nową siłą nad domami zerwała. Pleszke, stary zdziecinniały jąkała w łachmanach, z wolem na gardle, wybucha głośnym śmiechem. Hanke—młody szubrawiec i próżniak - klnie, Przez drzwi otwarte widać jak obaj strącają w podwórku śnieg z czapek i odzieży. — Każdy z nich ma sakwy.

PLESZKE.

O reta! O reta!.. A to ci siecze, jak dja—djabli! J—j—eno patrzeć, jak się cc—cała buda rozwali. T—t—tak roz—rozwali, do licha.

HETA.

namyśla się przez chwilę, patrząc na przybyłych. Potem wyciąga szybko manatki z pod siennika, pędem przebiega z tobołkiem mimo mężczyzn i wpada na prowadzące pod strych schody.

PLESZKE.

A ty t—t—ty co? Czego uciekasz? Przecie cię—cię tu nikt nie z—z—z—zje. Prawda Hanke? Co?

PIWONJA

zatrudniona u piecyka gotowaniem kartofli.

Leci, bo głupia! Myśli, że jej tu kto porwie jej łachy!

PLESZKE

wchodząc.

O Jezu! Jezu! Oj świecie! A t—t—to ci dmie! Niech b—będzie pochwalony! t—t—tak! A djabli., d—d—d—jabli. To ci wichura! To ci wi—wi—wichura! Su—s—su—suchej nitki na człowieku ni—niema.

Sztykuta pokrzywionemi nogami do stołu, kładzie na nim sakwy i obraca drżącą głowę siwą i kaprawe oczy na Piwonję. Co czyniąc, ciągle jeszcze kaszle, dyszy dychawicznie i bije się rękami po bokach na rozgrzewkę. Tymczasem wszedł do izby Hanke. Sakwy u drzwi postawił, prosto do pieca drżąc od zimna poszedłszy, suchy chrust pakować w niego zaczął.

PIWONJA.

Zkądże idziesz?

PLESZKE.

Ja..? Ja—j—a z—z-zkąd ja i—i—idę? Oj z—z—zda—da—leka. C—c—całe—ca—całem Górki obleciał!

PIWONJA.

A przyniosłeś też co?

PLESZKE.

B—b—b—ba! I nie, nie byle co! U organistym do—do—dostał piątaka! Tak! P—p—piątaka! A u karczmarz—rz—rz—rza, tom dos—s—stał garnek r—r—rosołu! Tak! Ga—ga-garnek rosołu!

PIWONJA.

Dajże, to zagrzeję!

Wyciąga z tobołka garnek obwiązany, stawia go na stole, i grzebie w taborku dalej.

PLESZKE.

A je—je-jeszcze, tak. Jeszczem m—m—dostał kiełbasy! Rze—rzeźnik—Teipel, rz—rz—rżeźnik dał.

PIWONJA.

A pieniędzy dużoś przyniósł?

PLESZKE.

Trzy—trz—trzy trojaki, widzi mi się. T—t—tak trzy trojaki!

PIWONJA.

Dajże, co schowam!

HETA

powraca.

A z was też głupi, tak wszystko dawać!

PIWONJA.

Patrz swego nosa! O! Widzicie ją!

HANKE.

Przecie się będą żenić.

HETA.

Oj bieda, z głupiemi, bieda!

HANKE.

To musi przecie kawaler coniebądź pannie przynieść. To już tak jedno do drugiego pasuje!

PLESZKE.

A! a—a—a—ty m—m—możesz sobie z—z—z młodszych kpić! A—a a—a staremu spo—po—pokój dać!

HETA

podrzeźnia.

S—s—Pl—Pl—Pleszke—to—to to już niedługgo nie będzie mógł sie wcale wyga—ga—dać! A a a ni—słow—w—wecz—cz—ka wykrz—krz krztusić!

PLESZKE

porywa się na nią ze szczudłem.

A ale teraz, stul gębę!

HETA.

Przed kim będę gębę stulać?

PLESZKE.

A—a—ale t—t—teraz s—stul gębę!

PIWONJA.

Jest! Znów co nowego!

PLESZKE.

S—s—tul g—g—gębę!

HANKE.

Ii i! Dajcie spokój stary.

PLESZKE.

T—t—ty—daj spokój!

HETA

za plecami Hankego, który się za nią przed dziadem stawia, wyciąga mu coś z worka, przewieszonego przez ramię. Widzi to Piwonja i parska śmiechem!

HANKE.

Tu się niema z czego śmiać!

PIWONJA

śmiejąc się ciągle.

Ale!. Niema się tu człowiek śmiać!

PLESZKE.

O Jezu! Jezu! papapapatrzej ino!

PIWONJA.

A popatrz ino we worek! Bo jakoś mniejszy.

HANKE

obraca się i spostrzega, że jest ograbiony.

A szelma dziewka!

Wybiega za nią.

Niechno ja cię złapię!

Słychać tupot po schodach, gonienie się, i zduszone wrzaski.

PLESZKE.

D—d—djabeł nie dziewka! D—djabeł n—nie dź—dź—dź—dziewka!

Śmieje się na różne tony do rozpuku. Piwonja zanosi się także od śmiechu. Nagle słychać uderzenie w uszak drzwi, silnie pchniętych. Oboje śmiać się przestają.

PLESZKE.

A—a—a—a—to co?

Wściekła wichura wstrząsa węgłami domu. Ziarnisty śnieg bije w szyby. Chwila ciszy. Teraz ukazuje się nauczyciel miejski Gottwald, trzydziesto-dwu letni, z czarnym zarostem mężczyzna, niosąc na ręku czternastoletnią Hanusię Mattern. Dziewczyna jęczy z cicha. Długie jej, rude rozpuszczone włosy spadają na plecy nauczyciela. Twarz Hanusi przytulona do szyi Gottwalda. Ręce jej i ramiona wiszą bezwładnie, omdlałe. Naprędce tylko odziana i otulona chustką. Nauczyciel ostrożnie

opuszcza swój ciężar na łóżko, stojące po prawej stronie u ściany. Zdaje się on nie widzieć obecnych i nie troszczyć się o nich. Drwal Seidel wchodzi za nim z latarką. Prócz piły i siekiery niesie Seidel zawiniątko mokrych łachmanów. Na głowie ma zniszczony strzelecki kapelusz

PLESZKE

wodząc po przybyłych oczyma tępo i bezmyślnie.

Hee—hee-hee—hee!. A to znów c-c—co się stało? Tak—tak! Co się z—znów stało?

GOTTWALD

otulając Hanusię kołdrą i własnym płaszczem.

Grzać kamienie.... Seidel... prędzej!

SEIDEL.

Allons! Allons! Parę cegieł! Allons! Allons! Zawsze się coś znajdzie!

PIWONJA.

Co się to takiego stało?

SEIDEL.

I.. Co tam pytać!

Wychodzi. Baba drepcze za nim.

GOTTWALD

uspakajającym głosem do Hanusi.

Już cicho! Już się nie bój! Już dobrze! Już ci się nic złego nie stanie!

HANUSIA

szczękając zębami.

Tak się boję!.. Tak się boję!..

GOTTWALD.

Nie bój się, dziecko, nie! Nie masz się czego bać! Nikt ci tu nic złego nie zrobi!

HANUSIA.

Ale ojciec... Ojciec...

GOTTWALD.

Ojca niema!

HANUSIA.

Tak się boję... jak Ojciec przyjdzie!...

GOTTWALD.

Ale nie przyjdzie, mówię ci, nie! Możesz mi wierzyć.

Słychać szybkie zbieganie po schodach.

HETA

trzyma tartkę w podniesionej ręce.

No patrzcie! Patrzcie tylko, jakie to prezenty dostaje Hanke!

Hanke goni ją, dopędza, szamocze się z nią i chce wyrwać tartkę, którą Heta szybkim ruchem na środek izby ciska.

HANUSIA

zrywa się w najwyższej trwodze.

Idzie! Idzie!

Wpółpodniesiona, z wyciągniętą w kierunku hałasu głową, patrzy z wyrazem przerażenia w chudej, wynędzniałej twarzyczce. Heta wyrwała się z ramion Hankego i do komory wpadła. Hanke wchodzi do izby i podnosi tartkę.

HANKE.

Już ja cię umaluję! Wiedźmo ty!

GOTTWALD

do Hanusi.

Nic! Nic! Cicho, Hanusiu, cicho!

Do Hankego.

Czego tu chcesz!

HANKE

wytrzeszcza głupkowato oczy.

Ja? Czego, niby, ja chcę?

HETA

wytyka głowę z komory i woła.

Porwisz! Porwisz!

HANKE

grozi jej kułakiem.

Milcz, bo ci gnaty połamię!

GOTTWALD.

Proszę o spokój! Tu chora leży!

HANKE

podniósł tartkę i za pazuchę wsadził, onieśmielony trochę.

Cóż tu się zrobiło?

SEIDEL

powraca, niosąc cegły.

Te dwie tymczasem...

GOTTWALD

dotyka cegieł probując.

Gorące już?

SEIDEL.

A grzeją trochę!

Podkłada jedną pod nogi Hanusi.

GOTTWALD

wskazując inne miejsce.

Druga tutaj!

SEIDEL.

Jak lód dziewczyna!

GOTTWALD.

Febra ją formalnie trzęsie!

Za Seidlem wsunęła się Piwonja, za nią Pleszke i Heta. We drzwiach izby ukazują się zagadkowe postacie innych mieszkańców przytułku. Na wszystkich twarzach ciekawość. Zrazu szepczą, potem szmer rośnie, a ludzie bliżej się w izbę cisną.

PIWONJA

Najbliżej łóżka; ręce w boki wparte.

Żeby tak wódka była, a z wodą zagrzać!

SEIDEL

wyciąga butelczynę; tak samo Pleszke i Hanke.

Zawszeć będzie z naparstek.

PIWONJA

już u piecyka się krzątając.

Dajcież ją tu!

SEIDEL.

A woda gorąca jest?

PIWONJA.

O jej! Choćby wołu parzyć!

GOTTWALD.

I kawałątko cukru w to, jeśli macie!

HETA.

Zkądby tu kto cukier miał!

PIWONJA.

Nie gadaj ino, nie gadaj! Przecie masz oskubinę!

HETA.

Ja?... cukru?.. Nie mam.

Śmieje się przymuszonym głosem.

PIWONJA.

Przecieżeś przyniosła trochę.. Przecieżem sama widziała w chuściątku...

SEIDEL.

No ruszaj! Przynoś!

HANKE.

Leć, Heta, leć!

SEIDEL.

Przecie widzisz, co się z dziewczyną dzieje?

HETA

uparcie.

Dajcie mi święty spokój!

PLESZKE

sztukając szczudłem z irytowany.

C—cccukier masz przynieść! Wiesz?

HETA.

U kupca cukru dostanie!

Wymyka się z izby.

SEIDEL.

Masz szczęście że nogi za pas bierzesz, bobym ci tu zaraz parę kuksańców pod żebro wsadził. Miałabyś pewno dość. Już byś się pewno nie wracała po więcej!

PLESZKE

wyszedł i pochwili wraca.

To to—to ci taka dziewka! To tttaka!

SEIDEL.

Już ja bym jej muchy z nosa wytrzebił! Żebym tak na miejscu pana wójta był, tobym tęgich witek brzozowych naciąć dał, to one by tu z nią zrobiły porządek! Słychane rzeczy, żeby się taka młoda, mocna dziewka w przytułku wylegiwała!

PLESZKE.

Jeszczem tu ka—tu-ka—tu kawalątko cu—ukru znalazł! Tttak kkkawalątko!

HANKE

wciąga nosem głośno zapach grogu.

Ja bym też tak kiedy pochorować chciał!

SZMIT

Wchodzi z latarnią i mówi nagląco a poufale.

Na bok! Na bok! Pan wójt idzie!

Wchodzi wójt Berger, kapitan rezerwy. Małe wąsiki, twarz młodzieńcza, dobroduszna, włosy dobrze szpakowate. Wierzchnie ubranie zarywa na szyk miejski, w ręku laska, miękki kapelusz filcowy, po junacku na bakier wsadzony. Coś burszowskiego w ruchach i układzie.

Mieszkańcy przytułku:

Różnemi głosami.

Dobry wieczór panie wójcie!
Padam do nóżek, Panie Kapitanie!

BERGER

prędko.

Dobry wieczór! Dobry wieczór!

Zdejmuje kapelusz i okrycie, kładzie laskę, poczem z wymownym gestem:

No, a teraz wynosić się! Precz!

Szmit wypycha żebraków do obocznej komory.

BERGER.

Dobry wieczór, panie Gottwald?

Podaje mu rękę.

Cóż to się tu dzieje?

GOTTWALD.

A ot, tylkośmy ją co wyciągnęli z wody.

SEIDEL

występuje naprzód.

Za przeproszeniem pana kapitana!

Salutując po żołniersku ręką do czoła.

To było tak: Idę ja z kuźni, co miałem tam trochę interesu... żeby mi kowal siekierę nastalił, tak dobrze! Idę ja z kuźni, a tam niedaleko,—niby od kuźni, od Jauchnera Kamata, — jest staw. Stawisko takie, za przeproszeniem pana kapitana, żeby nie skłamać, jak pół morza! *Do Gottwalda.* No nie tak? Przecie nie co? Będzie tak jak z pół morza. Tak dobrze! Idę ja z kuźni, a tam na tym stawie, takie miejsce jest, jak to nietrzeba powiadać panu kapitanowi, co nie zamarza. Żeby tam niewiedzieć jaki mróz był, nie zamarza! Głębia taka! Tom jeszcze mały bęben był...

BERGER.

No dobrze! I cóż tam było na stawie?

SEIDEL

salutując na nowo.

Więc kiedy ja tak z kuźni idę, a właśnie księżyc zdziebluchno z chmur wyjrzał, tak słyszę, jęczy coś! Tak myślę: albo mi się zdaje, albo cości jęczy. Tak dobrze! Spojrzę na staw, a tu się coś czerni. Patrzę, a to wprost leci na tę głębię, na oparzelisko! Tak krzyknę: Ho!, a to plusk i już! Tak dobrze. Co robiący, skaczę ja do kuźni, za deskę i na staw! Sparłem deskę na lodzie, raz, dwa, trzy i takiem ją za spódniczynę przychwycił.

BERGER.

No, przecieżeś się raz spisał. Dotąd zawsze tylko słychać było o bijatykach, łbach rozwalonych i połamanych kościach. Przynajmniej raz jakaś odmiana! I zaraześ ją tu przyniósł?

SEIDEL

salutując.

Pan nauczyciel Gottwald.

GOTTWALD.

Przechodziłem właśnie tamtędy, wracając z naszej szkolnej narady. Zanieśliśmy ją do mnie. Żona moja trochę ją osuszyła, odziała.

BERGER.

Więc jakże! Cóż się pokazało?

SEIDEL

zwolna, drapiąc się za uchem.

Ano... toć to przecie pasierbica Matterna mularza!

BERGER

patrzy na Hanusię przez chwilę.

Czyja? Tego gałgana, pijaka? Tego...

SEIDEL.

Sześć niedziel temu, umarła jej matka. A zresztą, co to powiadać! Cała wieś o tem wie. Bijał ją i poniewierał za nic. Tak mu do łba zajechało, że to niby... ja... ojciec...

BERGER

przez zęby.

Taki podziomek!

SEIDEL.

A toć on i teraz w karczmie siedzi i pije. Od wczoraj siedzi i chlapie co wlezie!

BERGER.

Już ja temu nicponiowi raz dobrze przysolę.

Pochyla się nad łóżkiem i mówi do Hanusi.

Dziewczyna! Słuchaj no... Cóż tak jęczysz? Czego się z takim strachem na mnie patrzysz? Prze-

cież ci nic złego nie robię! Jak ci imię? Jak mówisz? Nie rozumiem!

Prostuje się.

Zdaje się, że dziewczyna trochę jest uparta!

GOTTWLD.

Zalękniona tylko. Hanusiu!

HANUSIA

ledwo dosłyszalnym głosem.

Co?

GOTTWALD.

Odpowiedz, panu wójtowi.

HANUSIA

drży silnie.

Mój Boże! Jak mi zimno!

SEIDEL

przynosi grog.

HANUSIA

tak samo.

Mój Boże! Jaka ja głodna!

GOTTWALD.

A dać jej, to jeść nie chce.

HANUSIA.

Mój Boże! Jak mnie strasznie boli!

GOTTWALD.

Gdzie cię tak boli?

HANUSIA.

Tak się boję!..

BERGER.

Kto ci co złego zrobił? Kto? No mów śmiało! Głośniej! Ja cię ani słowa zrozumieć nie mogę, moje dziecko! Spojrzyj się na mnie! Jakże to było? Poniewierał cię ojczym? Bił cię? Zamykał może? Może z domu cię wypędził? Jakże? Co? No, gadajże przecie!

SEIDEL.

Zawsze taka niemota! Już to źle musi z nią być, jak słowo piśnie. Jak to nieme jagnie! Akurat!

BERGER.

Chciałbym wszakże czegoś się pewnego dowiedzieć. Przynajmniej raz udałoby mi się przychwycić tego łotra.

GOTTWALD.

Tak się, biedactwo, niemądrze ludzi boi!

SEIDEL.

A i cóż tu się, z przeproszeniem dowiadywać! Cała wieś przecie wie. Pierwszego z brzega spytać, to powie! Aż mi dziwno, że ten dzieciak jeszcze na taką poniewierkę żyje! To i tak cud boski!

BERGER.

A cóż on z nią robi?

SEIDEL.

A co? Różnie bywa. Kija to z niej nie zdejmuje prawie! Tyle, co do karczmy idzie. Na noc ją z chałupy pędzi, żeby mu pieniędzy przyniosła. Piątaka, co już najmniej, choćby tak jak dziś, djabli się tłukli po świecie. Co jemu do tego? On piątaka na wódkę musi mieć! A zkąd teraz na

ten przykład, taki dzieciuch piątaka weźmie? Kraść pójdzie? To siedzi do północka na drodze i płacze. Bo jak wróci nim stary zaśnie, a pieniędzy nie przyniesie, to się ludzie z drugiego końca wsi zlatują, taki krzyk, taki wrzask, tak ją wali!

GOTTWALD.

Póki matka żyła, to to jeszcze uchronę jakąś miało...

BERGER.

Tak czy siak, ja tego hultaja wpakuję do kozy. Jużem go sobie dawno, pijanicę tego, zakarbował. No, dziewczyna! Jakże tam? Spojrzyj no na mnie!

Pochyla się.

HANUSIA.

Ach proszę, proszę, proszę, proszę!

SEIDEL.

Z niej to tam łatwo nie dobędzie słowa.

GOTTWALD

łagodnie.

Hanusiu!

HANUSIA

cichutko.

Co?

GOTTWALD.

Poznajesz mnie?

HANUSIA.

Tak.

GOTTWALD.

Któż ja jestem?

HANUSIA.

Pan... pan Nauczyciel... Gottwald.

GOTTWALD.

No dobrze! No widzisz! Przecie ja twój przyjaciel! Prawda? No to teraz nam opowiedz trochę. Byłaś tam na stawie? Co? Czemużeś nie była w domu? No... czemu?

HANUSIA.

Tak się boję...

BERGER.

No to my sobie odejdziemy troszkę. Powiedz samemu Panu Nauczycielowi!

Odstępuje z Seidlem od łóżka.

HANUSIA

z ociąganiem i tajemniczo.

Wołało!

GOTTWALD.

Kto wołał?

HANUSIA.

Pan Jezus!

GOTTWALD.

Gdzież to cię Pan Jezus wołał!

HANUSIA.

We wodę!

GOTTWALD.

Gdzie?

HANUSIA.

Tam na dno... we wodę.

BERGER

zmieniając zamiar kładzie okrycie i bierze kapelusz.

Tu przedewszystkiem potrzeba doktora. Pewno go będzie jeszcze można zastać... pod „Mieczem."

GOTTWALD.

Posłałem też do sióstr... Dziecko będzie potrzebowało opieki.

BERGER.

Idę, i zaraz doktora przysyłam.

Do Szmita:

A ty mi po wachmistrza skocz. Będę czekał pod „Mieczem." Dobrej nocy, panie Gottwald Jeszcze dziś ptaszka zasadzę do ciupy!

Wychodzi ze Szmidtem, Hanusia zasypia.

SEIDEL

kiwa głową.

Zasadzi on go tam!

GOTTWALD.

Czemużby nie?

SEIDEL.

To się wie czemu! A któż to jak nie on dzieciakowi do świata pomógł?

GOTTWALD.

A, Seidel! Toż to babskie plotki!

SEIDEL.

Plotki, albo i nie plotki! Są tacy, co o tem coś wiedzą.

GOTTWALD.

Czego ci ludzie nie wymyślą! Nie można nic temu wierzyć co gadają. Żeby tylko doktór prędzej przyszedł.

SEIDEL

z cicha.

Na mój głupi rozum, to jej tam już doktor nie pomoże. Dziewczyna ze wszystkiem kaput!

Wchodzi dr. Wachler, poważny trzydziesto kilko letni człowiek.

D-r. WACHLER.

Dobry wieczór!

GOTTWALD.

Dobry wieczór!

SEIDEL

Zdejmuje futro z doktora.

Dobry wieczór panu Doktorowi!

D-r. WACHLER

grzejąc u piecyka ręce.

Prosiłbym o jedną jeszcze świecę.

Słychać w komorze obracaną katarynkę.

Powarjowali tam, czy co?

SEIDEL

u drzwi komory.

Ciszej tam! Pan doktór każe ciszej!

Katarynka ucicha. Seidel wchodzi do komory.

D-r. WACHLER.

Pan Gottwald — nieprawdaż?

GOTTWALD.

Tak. Gottwald.

D-r. WACHLER

Chciała się „topić," słyszę.

GOTTWALD.

Nie mogło biedactwo inaczej poradzić sobie!

D-r. WACHLER

podchodzi ostrożnie do łóżka.

Ależ ona przez sen mówi...

HANUSIA.

Miljony gwiazdek...

Dr. Wachler i Gottwald słuchają. Księżyc przedarł się przez chmury i oświetla grupę.

Czego mi kości łamiesz! Aj!.. Aj!.. Tak mnie w duszy boli!

D-r. WACHLER

rozpina jej ostrożnie koszulę pod szyją

Całe ciało ma sińcami pokryte

SEIDEL.

Tak i jej matka wyglądała w trumnie!

D-r. WACHLER.

Okropność! Okropność!

HANUSIA

zmienionym, upartym głosem.

Nie chcę! Nie chcę! Nie pójdę do domu! Pod wodę pójdę... Pod wodę... Puszczaj, ojcze! pójdę... pfe, jak wódką czuć! Znów piłeś wódkę!.. Słyszysz jak las huczy? Dziś rano leżała brzoza, na górze, złamana... Żeby tylko pożaru nie było! Jak krawiec idzie, a kamieni w kieszeń nie nabierze, i żelazka w ręku nie ma, to go wicher tak po górach nosi, nosi... Ha... Burza! Burza!

Wchodzi Diakonisa — Siostra Marta.

GOTTWALD.

Dobry wieczór, Siostro!

Siostra Marta skłania głowę.

Gottwald przystępuje do Djakonisy, która zaraz zaczyna się krzątać około przygotowań do nocnego czuwania, i rozmawia z nią z cicha, w głębi.

HANUSIA.

Gdzie matka? W niebie? Ach, ach! Jak daleko!..

Otwiera oczy, patrzy dokoła mętnym wzrokiem, przeciąga ręką po oczach i mówi ledwo dosłyszalnym głosem.

Gdzie ja... jestem...?

D-r. WACHLER

pochylony nad nią.

U dobrych ludzi.

HANUSIA.

Pić mi się tak chce...

D-r. WACHLER

odwraca głowę.

Wody!

Seidel, który przyniósł drugą świecę, idzie po wodę.

D-r. WACHLER.

Czy cię co boli?

Hanusia wstrząsa głową.

D-r. WACHLER.

Nie? No widzisz! To z nami wcale tak źle nie jest!

HANUSIA.

Czy pan — doktór?

D-r. WACHLER.

A jakże, doktór!

HANUSIA.

To ja pewno... chora?

D-r. WACHLER.

Trochę... Troszkę.. Niebardzo!

HANUSIA.

I pan mnie chce wyleczyć?

D-r. WACHLER

badając szybko.

Boli cię tu? A tam? Może tu boli? Tu? Tu może? Nie lękaj się! Nie patrz na mnie z takim strachem! Ja cię nie urażę! A tu? Tu boli? Tu może czujesz ból?

GOTTWALD

zbliża się do łóżka.

Odpowiedz Panu Doktorowi, Hanusiu!

HANUSIA

gorącym, sennym, drżącym we łzach głosem.

Ach drogi panie Gottwald!

GOTTWALD.

Uważaj teraz, o co cię Pan Doktór pyta, i ładnie odpowiadaj!

Hanusia wstrząsa głową.

Czemu nie?

HANUSIA.

Bo... bo.. bo jabym tak chciała do matki!

GOTTWALD

wzruszony gładzi jej włosy.

No cicho już, cicho!

Mała pauza.

Doktór się prostuje, oddycha głęboko i zamyśla się przez chwilę. Siostra Marta wzięła drugą świecę ze stołu i przyświeca nią.

D-r. WACHLER

dając ruch ręką.

Proszę, Siostro!

Podchodzi z nią do stołu i cichym głosem daje polecenia. Gottwald bierze kapelusz i patrzy, oczekując, to na Hanusię, to na doktora, to na Diakonisę.

D-r. WACHLER

kończąc przyciszoną rozmowę z Siostrą.

A ja tu przyjdę znowu. Lekarstwo przyślę zaraz.

Do Gottwalda.

Podobno aresztowany w oberży „pod Mieczem".

SIOSTRA MARTA.

Tak mi przynajmniej dopiero co mówiono.

D-r. WACHLER

nakłada futro, do Seidla.

Pójdziecie za mną do apteki.

D-r. Wachler, Gottwald i Sejdel kłaniają się Siostrze i wychodzą zwolna.

GOTTWALD

idąc.

Cóż pan myślisz o stanie chorej, Doktorze?

Wszyscy trzej wyszli. Diakonisa zostaje z Hanusią sama, nalewa mleko w garnuszek. Hanusia otwiera oczy i patrzy na nią.

HANUSIA.

Czy ty przychodzisz od Pana Jezusa?

SIOSTRA MARTA.

Co mówisz?

HANUSIA.

Czy od Pana Jezusa przychodzisz?

SIOSTRA MARTA.

Cóż to, Hanusiu, nie poznajesz mnie? Przecież ja jestem Siostra Marta, nieprawdaż? Przecież ty

byłaś u nas kiedyś? Nie pamiętasz-to jakieśmy się razem modliły? Piękne pieśni śpiewały? Prawda?

HANUSIA

przytakuje radosnym ruchem głowy.

Ach tak! Piękne pieśni!

SIOSTRA MARTA.

No, a teraz będę cię tu pielęgnowała w imię Boże, póki znów nie będziesz zdrowa!

HANUSIA.

Ja nie chcę być zdrowa.

SIOSTRA MARTA

podchodzi z garnuszkiem mleka.

Powiedział pan doktór, że masz się trochę mleka napić! Żebyś się wzmocniła trochę...

HANUSIA

broniąc się.

Ja nie chcę być zdrowa!

SIOSTRA MARTA.

Nie chcesz być zdrowa? No to tam później pogadamy o tem... A teraz daj, kochanie! włosy ci trochę zwiążę...

Wiąże jej włosy.

HANUSIA

cicho płacząc.

Ja nie chcę być zdrowa!

SIOSTRA MARTA.

Czemuż to nie?

HANUSIA.

Bo jabym tak chciała... tak chciała... do nieba!

SIOSTRA MARTA.

Nie w naszej to mocy! Czekać trzeba, póki Bóg nie zawoła. Ale jeżeli za grzechy swoje żałujesz...

HANUSIA

żarliwym głosem.

Ach, Siostro! Tak żałuję! Tak ogromnie żałuję!

SIOSTRA MARTA.

I jeśli wierzysz w Jezusa Chrystusa...

HANUSIA.

Ach, wierzę! Tak mocno wierzę w Zbawiciela mego!

SIOSTRA MARTA.

To musisz Go oczekiwać w radości i spokoju! A teraz poprawię ci poduszkę, i uśniesz trochę. Dobrze?

HANUSIA.

Nie mogę usnąć...

SIOSTRA MARTA.

Poprobuj troszkę.

HANUSIA.

Siostro Marto!..

SIOSTRA MARTA.

Cóż takiego?

HANUSIA.

Siostro Marto! Czy są grzechy... czy są takie grzechy, co nie mogą być odpuszczone?

SIOSTRA MARTA.

Śpij teraz, Hanusiu! Nie myśl o tem teraz!

HANUSIA.

Ach powiedz mi, Siostro! Proszę, proszę, proszę!

SIOSTRA MARTA.

Są takie grzechy. A jakże! To są grzechy! przeciw Duchowi Świętemu.

HANUSIA.

A jeśli ja taki grzech.. popełniłam?

SIOSTRA MARTA.

Ale co znowu! Tylko źli ludzie tak grzeszą Taki, ot Judasz, co Pana Jezusa zdradził..

HANUSIA.

Ale jeśli... jeśli popełniłam!

SIOSTRA MARTA.

Śpij teraz, śpij!

HANUSIA.

Kiedy się boję...

SIOSTRA MARTA.

Nie masz się wcale czego bać!

HANUSIA.

Bo jeżeli taki grzech popełniłam...

SIOSTRA MARTA.

Nie popełniłaś takiego grzechu, nie!

HANUSIA

czepia się jej ręki i patrzy w ciemności z trwogą.

Ach Siostro... Siostro...

SIOSTRA MARTA.

Bądź, bądź spokojna!

HANUSIA.

Siostro!

SIOSTRA MARTA.

No, cóż tam takiego?

HANUSIA.

Bo on tu zaraz przyjdzie... Już idzie! słyszysz!

SIOSTRA MARTA.

Nie, nie słyszę!

HANUSIA.

To jego głos... tam... na dworze! O!...

SIOSTRA MARTA.

Czyj głos?

HANUSIA.

Ojca...Ojca... Ojciec tam stoi!

SIOSTRA MARTA.

Gdzie?

HANUSIA.

O... tam...

SIOSTRA MARTA.

Gdzie znowu?

HANUSIA.

Tam za łóżkiem.

SIOSTRA MARTA.

Tam? To płaszcz tam wisi, patrz! Widzisz płaszcz! A tu oto kapelusz! Zaraz zabierzemy te brzydkie rzeczy, i oddamy ojcu Pleszke! A za jedną drogą przyniosę świeżej wody i zrobię ci okład na głowinę! Zostaniesz chwileczkę sama? Ale cicho, cichutko leżeć masz... Zupełnie spokojnie!

HANUSIA

z biernym, chorym uśmiechem.

A tom... głupia była! Przecie to płaszcz! Prawda? A to kapelusz!

SIOSTRA MARTA.

A teraz cichutko tu leż! Ja zaraz wrócę.

Wychodzi, ale zmuszona jest wrócić po światło, bo w sieniach zupełnie ciemno.

Biorę świecę, bo tam ciemno.

Grozi dobrotliwie palcem.

Ale żebyś mi tu cichutko leżała!

Wychodzi.

W izbie teraz prawie zupełny mrok. W tej chwili ukazuje się w nogach łóżka Hanusi, postać mularza Matterna. Pijacka, wyschła twarz, rude szorstkie włosy, na nich zniszczona żołnierska furażka bez daszka. W lewej ręce trzyma kielnię. Prawa okręcona rzemieniem zaciśnięta w kułak. Ruch taki, jakby lada chwila miał się na Hanusię rzucić. Słabe światło bije od tego zjawiska i oświetla w krąg łóżko Hanusi. Dziewczyna w przerażeniu oczy rękami zakrywa i jęczy z cicha-

POSTAĆ

mówi zachrypłym, wściekłą pasją zdławionym głosem.

Gdzie siedzisz? Gdzieś była? Co tu robisz? Ja cię nauczę, próżniaku! Ja ci pokażę! Zobaczysz! Coś tu ludziom nałgała o mnie? — Że cię katuję? Hę? Ty znajdo, ty! Ty przybłędo! Wstawaj mi zaraz! Ja cię tu pożałuję!.. Zobaczysz! Jak psa na drogę wyrzucę! Wstawaj i ogień pal! Jeszcześ tu? Z łaski, z miłosierdzia w domu cię trzymam, darmozjadzie, próżniaku! Jeszcze leżysz? Jak ja się tu wezmę z pięścią do ciebie...

Hanusia podnosi się z wysiłkiem, z oczyma zamkniętemi do piecyka idzie, otwiera dzwiczki, i bez zmysłów na ziemię pada. W tej chwili wchodzi siostra Marta z dzbankiem i świecą. Postać Matterna znika.

SIOSTRA MARTA

zatrzymuje się, spostrzega leżącą Hanusię i przerażonym głosem woła.

Chryste Panie!

Stawia świecę, dzbanek, biegnie do Hanusi i dźwiga ją z ziemi. Na krzyk przybiegają mieszkańcy przytułku.

SIOSTRA MARTA.

Po wodę musiałam iść, a ta mi z łóżka zeszła! Proszę cię, Jadwigo, pomóż mi!

HANKE.

Dalej Heta! A uważaj, bo jej kości temi niedźwiedziemi łapami połamiesz!

PLESZKE.

Na — na m — m — m — mój rozum, to ja myślę Si — Si — Si — Siostro, że dz — dziewczynie ktoś u — u — urok zadał. Tak!

PIWONJA.

A cóż? Może być! Ze wszystkiem wygląda, jakby urzeczona!

HANKE

głośno.

Ino patrzeć, jak zipnie... Już ja się na tem znam!

SIOSTRA MARTA

z pomocą Hety położyła Hanusię na łóżko.

Może i masz słuszność, mój przyjacielu, ale teraz... nieprawdaż? Wszak widzicie sami? Nietrzeba chorej przeszkadzać!

HANKE.

A cóż my jej tu przeszkadzamy?

PLESZKE.

Du — du — du — Dureń z ciebie! To — to — to — toż k — k — każdy wie, że ch — ch — cho — chory m — m — musi s — s — s — spokój mieć!

HETA

podrzeźnia.

Ch — ch — ch — ch — chory!...

SIOSTRA MARTA.

Proszę was, dobrzy ludzie! Bardzo, bardzo was serdecznie proszę!

PIWONJA.

Ma racyę Siostra! Wynoście się! Dalej!

HANKE.

Co to, wynoście, się? Sami pójdziem, jak nam się będzie spodobało!

HETA.

Tak mi się cosik widzi, że dziś przyjdzie w kurniku spać.

PLESZKE.

Ju—ju—już ty ty bądź cicho! Już t—t—t—ty so—sobie miejsce znajdziesz! Już ty wiesz g—g—g—gdzie s—s—sobie miejsca szukać!

Wychodzą.

HANUSIA

otwiera z obawą oczy.

Czy... Czy już poszedł?

SIOSTRA MARTA.

Ludzie? Ludzie poszli już sobie! Nie przelękłaś się ich przecież Hanusiu?

HANUSIA

ciągle z trwogą.

Czy ojciec poszedł?

SIOSTRA MARTA.

Ojca tu nie było!

HANUSIA.

Był, Siostro, był!

SIOSTRA MARTA.

To ci się tylko tak śnić musiało.

HANUSIA

z głębokiem westchnieniem żarliwie.

Ach drogi Jezu! Ach drogi Jezu! Ach najśliczniejszy, miłosierny Jezusku! Weź—że mnie już raz do siebie! Weź—że mnie do siebie!

Zmienionym głosem nuci.

Niech skryje mnie ziemia,
Niech skryje las,
Niech ludziom ja z oczu,
Zejdę już raz...

Mała pauza.

Wiem, wiem z pewnością, Siostro!

SIOSTRA MARTA.

Cóż ty wiesz?

HANUSIA.

Obiecał mi... Obiecał mi. że do nieba pójdę!

SIOSTRA MARTA.

Hm...

HANUSIA.

Wiesz, Siostro, kto?

SIOSTRA MARTA.

Któż taki?

HANUSIA

tajemniczo do ucha siostry się podnosząc.

Drogi—pan... Gottwald!

SIOSTRA MARTA.

No dobrze. Ale teraz, to już śpij, Hanusiu!

HANUSIA.

Siostro, prawda że nauczyciel Gottwald jest piękny mężczyzna! Henryk mu imię. Prawda? Henryk! Bardzo piękne imię! Prawda?

Gorącym, głębokim głosem.

Ty drogi, ukochany Henryku!.. Wiesz co, Siostro? My się pobierzem! Tak, tak. My oboje. Pan nauczyciel Gottwald i ja!

Nuci.

A jak ich już powiązał ksiądz,
To poszli tam oboje,
Na puchy białe, jako śnieg,
Na ciche swe pokoje!

Mówi.

A brodę jaką piękną ma!

Z rosnącą ekstazą.

Na głowie jego bzy kwitną...

Słyszysz? Woła.. Woła mnie.. Słyszysz?.

SIOSTRA MARTA.

Śpij, Hanusiu, śpij! Nikt nie woła.

HANUSIA.

To był pan... Jezus. Słuchaj tylko... słuchaj, Siostro! Znów woła: „Hanusiu"! głośno tak woła: „Hanusiu"! Zupełnie tak wyraźnie, woła: „Pójdź za mną, Hanusiu!"

SIOSTRA MARTA
wzruszona.

Gdy Bóg zawoła na mnie, gotowa będzie dusza moja.

HANUSIA

znów przez księżyc oświetlona, unosi głowę i wdycha powietrze, jakby wąchając słodkie wonie.

Czujesz, Siostro?

SIOSTRA MARTA.

Nie, dziecko, nie czuję!

HANUSIA.

Bzy pachną!

Z rosnącem uniesieniem.

Słuchaj!.. Słyszysz? Słyszysz teraz? Cóż więc to jest?

Z daleka słychać śpiew zebranych głosów.

Nie sąż to głosy anielskie? Więc i teraz nic nie słyszysz?

SIOSTRA MARTA.

Słyszę, Hanusiu, słyszę! Ale musisz teraz już naprawdę cicho być, na bok się ładnie obrócić, i spokojnie spać do rana!

HANUSIA.

A zaśpiewasz mi to, Siostro?

SIOSTRA MARTA.

Co takiego, dziecko?

HANUSIA.

„Śpij, dziecię, śpij!"

SIOSTRA MARTA.

Chcesz żebym Ci to zaśpiewała?

HANUSIA

opada na poduszkę i gładzi rękę Siostry.

Zaśpiewaj mi, Mamo, zaśpiewaj!

SIOSTRA MARTA

gasi świecę, pochyla się nad łóżkiem i mówi z lekkim rytmem śpiewnym, pod ton oddalonej muzyki.

Śpij, dziecię, śpij,
Owieczkę białą śnij!

Zaczyna teraz śpiewać. Robi się zupełnie ciemno.

Owieczka biała poszła w sad,
Gdzie kwitnie lilii cudny kwiat,
Śpij, dziecię, śpij!

Słaby brzask napełnia ubogą izbę. Na brzegu łóżka, pochylona naprzód, podpierając się o brzegi chudemi obnażonemi rękami, siedzi blada widmowa postać kobieca. Jest bosa. Długie jej, białe włosy opadają na skronie, wzdłuż twarzy i piersi, aż na kołdrę łóżka. Twarz wyschła, wyżółkła. W głębokich dołach błyszczą, mimo zamknięte powieki, oczy spuszczone, na Hanusię patrzące. Głos jej, jak głos lunatyczki, jednostajny. Nim słowo wymówi, szeroko, jednostajnie rozciąga wargi, z pewnym trudem dźwięk każdy dobywa, jakby z głębi piersi. Przed czasem zestarzała, schorowana i jak najnędzniej odziana.

POSTAĆ.

Hanusiu! Hanusiu!

HANUSIA

unosi głowę, również z zamkniętemi oczami.

Czy to ty, Mamo? Mamo droga!

POSTAĆ.

Łzami memi obmyłam nogi Zbawiciela naszego, a włosami memi je obtarłam.

HANUSIA.

Przynosisz mi dobrą nowinę?

POSTAĆ.

Tak.

HANUSIA.

Zdaleka idziesz?

POSTAĆ.

Sto tysięcy mil, wskroś wiecznej nocy.

HANUSIA.

Jakże ty wyglądasz, matko?

POSTAĆ.

Jak dzieci ziemi.

HANUSIA.

Z ust twych konwalja wykwita... Głos twój śpiewa...

POSTAĆ.

Nie jest to dźwięk czysty...

HANUSIA.

Matko! Droga Matko! Jakżeś ty piękna!

POSTAĆ.

Aniołowie w niebie są sto razy piękniejsi.

HANUSIA.

A czemużeś i ty nie taka?

POSTAĆ.

Bo cierpię ból przez ciebie...

HANUSIA.

To zostań tu, mamo, ze mną

POSTAĆ

podnosi się.

Czas mi iść.

HANUSIA.

Pięknież tam, gdzie jesteś?

POSTAĆ.

Szerokie, szerokie błonia, od burzy, od wichru, od gradu zakryte ręką Boga.

HANUSIA.

I możesz tam spocząć, gdyś zmęczona?

POSTAĆ.

Mogę.

HANUSIA.

I masz co jeść, gdyś głodna?

POSTAĆ.

Kiedy łaknę, mam mięsiwa i owoce, kiedy pragnę... mam wino złociste.-

Oddala się cofając.

HANUSIA.

Odchodzisz już, Matko?

POSTAĆ.

Bóg woła.

HANUSIA.

Czy Bóg głośno woła?

POSTAĆ.

Bóg głośno woła za mną.

HANUSIA.

Serce mam ogniem spalone...

POSTAĆ.

Świeżością róż i lilji Bóg ci je ochłodzi.

HANUSIA.

Czy Bóg mnie zbawi?

POSTAĆ.

Znasz ten kwiatek, który trzymam w ręku?

HANUSIA.

Kluczyki... Kluczyki rajskie do nieba!

POSTAĆ

wkłada kwiatek w rękę Hanusi.

Oto jest zakład od Boga ci dany. Bądź pożegnana.

HANUSIA.

Mamo! Mamo! Nie odchodź! Zostań!

POSTAĆ.

Maluczko, a nie ujrzycie mnie. I znów maluluczko, a ujrzycie mnie.

HANUSIA.

Boję się...

POSTAĆ

oddala się.

Jako wicher rozmiata śnieg halny, tak Bóg rozmiecie tych, którzy cię dręczą.

HANUSIA.

Nie odchodź, mamo!

POSTAĆ.

Dzieci niebios są, jak błękitne błyskawice nocy. Śpij.

Nagły mrok. Słychać słodkie chłopięce głosy, które śpiewają drugą strofę kołysanki.

Śpij, dziecię, śpij!
O rajskich gościach śnij!

Nagle całą izbę wypełnia złoto—zielone światło. Widać trzech jasnych aniołów. Piękne, uskrzydlone postacie młodzieńcze, z wieńcami róż na głowach, odśpiewują koniec strofy z długiej, jak na starych obrazach bywa karty, której zwoje spadają ze stron obu. Ani Diakonisy, ani postaci kobiecej niema na scenie.

ANIOŁY.

Przez biednej chaty niski próg.
Anielskich gości przysłał Bóg.
Śpij, dziecię, śpij!...

HANUSIA

otwiera oczy, patrzy z zachwytem na aniołów i mówi zdumiona.

Anioły!?

Z rosnącym podziwem i radością, ale nie bez powątpiewania.

Anioły!!?

Z wybuchem uniesienia.

Anioły!!!

Mała pauza.

Anioły mówią jeden po drugim, pod oddaloną muzykę.

I ANIOŁ.

Słońce na wzgórzach świecące.
Złota ci swego nie dało,
Zielonych dolin kobierce,
Nie słały ci się do stóp!

II ANIOŁ.

Pól żyznych kłosy srebrzyste,
Nie nakarmiły cię chlebem,
Mleko trzód w bujnych pastwiskach,
Nie wyszumiało w twój dzban!

III ANIOŁ.

Zioła i kwiaty tej ziemi,
Słodyczy pełne i woni,
Róż krasa, niebios bławaty
Nie usypały twych dróg!

Krótka pauza.

I ANIOŁ.

Pokłon ci pierwszy niesiemy,
Przez zmierzch i mroki żywota,
Z rajskim piór naszych powiewem
Tchnie pierwszy szczęścia dech!

II ANIOŁ.

Na rąbkach szat naszych błyszczą,
Najświeższe majowe rosy..
Z warg naszych zorzą wykwita,
Jutrzenna różaność dnia!

III ANIOŁ.

Ze śladem stóp naszych świeci
Blask szmaragdowy łąk raju,
W źrenicach naszych odbłyska
Światłem swem boży gród!

. . . . . .

Część II.

Scena jak przed ukazaniem się aniołów. Diakonisa siedzi przy łóżku, na którem leży Hannsia. Siostra Marta podnosi się, zapala świecę, Hanusia otwiera oczy. Przedchwilowe widzenie zdaje się przedłużać jeszcze. W twarzy Hanusi widać odblask niebiańskiego szczęścia. Zaledwie poznała Diakonisę, zaczyna mówić z radosnym pośpiechem.

HANUSIA.

Siostro, Anioły! Siostro Marto, Anioły! Wiesz kto tu był?

SIOSTRA MARTA.

Hm!.. Znowu nie śpisz!

HANUSIA.

Zgadnij, Siostro, kto? No?.

Z wybuchem uniesienia.

Anioły! Anioły! Prawdziwe anioły z nieba, Siostro Marto! Wiesz przecie? Anioły z długiemi skrzydłami!

SIOSTRA MARTA.

Więc kiedy Ci się takie piękne rzeczy śniły...

HANUSIA.

Ach, ach! Masz tobie! Teraz mówi, że mi się to śniło! A cóż to jest? Popatrz tylko Siostro!

Wyciąga rękę ze złożonemi palcami tak, jakby w nich trzymała kwiatek i pokazuje go Diakonisie.

SIOSTRA MARTA.

Cóż to tam masz?

HANUSIA.

No popatrz tylko, Siostro!

SIOSTRA MARTA.

Hm!...

HANUSIA.

O tu... patrz tylko!

SIOSTRA MARTA.

Aha!

HANUSIA.

Powąchaj tylko!

SIOSTRA MARTA

schyla się i pociąga nosem, jakby wąchała.

Hm... Pachnie!

HANUSIA.

Nie tak mocno, Siostro, bo go złamiesz!

SIOSTRA MARTA.

A niechże Bóg broni! Cóż to jest takiego, właściwie?

HANUSIA.

Kluczyki rajskie! Siostra kluczyków nie zna?

SIOSTRA MARTA.

Ach, tak?

HANUSIA

z dziecięcym cierpiącym śmiechem.

Z Siostry też!.. Niechże Siostra da świecę' Prędko... Prędko...

SIOSTRA MARTA

przynosi świecę i patrzy.

Ach, tak. Teraz już widzę.

HANUSIA.

Prawda?

SIOSTRA MARTA.

Ale ty zadużo mówisz, dziecko! Musimy się teraz cichutko sprawiać, bo by się Pan Doktór na nas gniewał. A przysłał też tu lekarstwo. Musimy je zaraz grzecznie zażyć.

HANUSIA.

Ach, Siostro! Tak się Siostra około mnie trudzi! A Siostra nic nie wie, co się tutaj stało! No? No? Wie Siostra? To niech Siostra powie, kiedy wie! Kto mi dał kluczyki? No? Kluczyki złote? Kto? No? Co to otwierają takie złote kluczyki? Co?.

SIOSTRA MARTA.

Jutro mi to wszystko opowiesz, Hanusiu, jutro! Jak dobrze wypoczniesz, będziesz zdrowa...

HANUSIA.

Przecie ja zdrowa!

Siada i opuszcza nogi z łóżka.

Przecie widzisz, Siostro, że ja zdrowa!

SIOSTRA MARTA

usiłuje przeszkodzić.

Ależ Hanusiu! Nie można tak robić! Nie powinnaś tak robić!

HANUSIA

staje, odpycha zakonnicę i chwiejąc się robi kilka kroków.

Musisz... Musisz puścić mnie, Siostro! Muszę iść.

Nagle zatrzymuje się z przestrachem i błędnym wzrokiem w jeden punkt patrzy.

Zbawicielu świata!

Widać anioła w czarnych szatach i z czarnemi skrzydłami. Jest on wysoki, silny, piękny. W ręku trzyma długi wężowaty miecz, którego rękojeść owija żałobna krepa. Milczący i surowy siedzi blisko pieca, i patrzy na Hanusię spokojnym, nieruchomym wzrokiem.

Białe, nieziemskie światło napełnia izbę.

HANUSIA.

Ktoś ty?

Milczenie.

Czyś ty anioł?

Milczenie.

Czyś ty do mnie przyszedł?

Milczenie.

Ja jestem Hanusia Mattern, czyś do mnie przyszedł?

Milczenie.

Siostra Marta stoi przez chwilę ze złożonemi rękami, w pobożnej i pokornej postawie; potem wychodzi zwolna.

HANUSIA.

Czy Bóg odjął mowę językowi twemu?

Milczeuie.

Czy od Boga idziesz?

Milczenie.

Czy jak przyjaciel, czy jak wróg przychodzisz?

Milczenie.

Czy to jest miecz, tam w fałdach twojej szaty?

Milczenie.

Brrr!.. Jak zimno! Lodowe zimno wieje z twoich skrzydeł. Mróz od ciebie idzie! Kto ty jesteś?

Milczenie.

Nagłym przestrachem ogarnięta z krzykiem rzuca się Hanusia wstecz, jakby szukając ucieczki w kimś, co za nią stoi.

Mamo! Mamo!

Ukazuje się postać w odzieniu Djakonisy, ale młodsza i piękniejsza, z długiemi białemi skrzydłami. Hanusia tuli się do niej, chwytając ją za rękę.

HANUSIA.

Mamo! Mamo! Tu ktoś jest!

DJAKONISA.

Gdzie?

HANUSIA.

O! Tu!

DJAKONISA.

Czego tak drżysz, dziecię?

HANUSIA.

Boję się...

DJAKONISA.

Nie bój się. Ja tu przy tobie.

HANUSIA.

Zęby mi szczękają ze strachu... Nie mogę wstać. Boję się jego...

DJAKONISA.

Nie powinnaś się go bać. To twój przyjaciel.

HANUSIA.

A kto on jest, mamo?

DJAKONISA.

Nie znasz go?

HANUSIA.

Kto on?

DJAKONISA.

Śmierć.

HANUSIA

jak echo.

Śmierć!

Patrzy przez chwilę, na czarnego anioła w milczeniu i ze czią.

Czy to być musi?

DJAKONISA.

To jest wejście, Hanusiu.

HANUSIA.

I każdy musi przez nie?

DJAKONISA.

Każdy.

HANUSIA.

O Śmierci! Czy ty mnie mocno uchwycisz?

Cisza.

Milczy! O co go tylko zapytam, na wszystko milczy, mamo!

DJAKONISA.

Słowa Boże w sercu twem są głośne.

HANUSIA.

Jak często wzywam cię w duszy... a przecież się lękam!

DJAKONISA.

Przygotuj się, Hanusiu.

HANUSIA.

Żeby umrzeć?

DJAKONISA.

Tak.

HANUSIA

po małej pauzie wstydliwie.

Mamże leżeć w trumnie obdarta? W łachmanach?

DJAKONISA.

Bóg cię odzieje.

Wyjmuje srebrny dzwonek i dzwoni. W tej chwili wschodzi tak jak wszystkie inne postacie następne, bez żadnego szmeru — mały garbaty krawiec wiejski, niosąc na ramieniu ślubną suknię, welon, wieniec, a w ręku szklane trzewiczki.

Krawiec ma chód komiczny, szastający się. Składa w milczeniu ukłony Aniołowi, Djakonisie, a wreszcie najgłębsze Hanusi.

KRAWIEC

ciągle w ukłonach.

Panno Hanno Katarzyno Mattern!

Chrząka.

Najłaskawszy Ojciec Pani, Jaśnie wielmożny Pan Hrabia, raczył zamówić u mnie ślubną toaletę.

DJAKONISA

bierze z rąk krawca luźną szatę i kładzie Hanusi przez głowę.

Pójdź, to cię ubiorę, Hanusiu!

HANUSIA

z radosnem wzruszeniem.

Ach, jak szeleści!.

DJAKONISA.

Biała jedwabna suknia, Hanusiu.

HANUSIA

pogląda po sobie z zachwytem.

Zdumieją się ludzie, jaka ja piękna w trumnie leżeć będę!

KRAWIEC.

Panno Hanno Katarzyno Mattern!

Chrząka.

Cała wieś o tem tylko mówi...

Chrząka.

jaki panią los, jakie szczęście spotyka w tej śmierci, panno Hanno!

Chrząka.

Ojciec Pani...

Chrząka.

Jaśny Pan Hrabia...

Chrząka.

Był właśnie u pana Wójta...

DJAKONISA

kładzie Hanusi wieniec.

Pochyl głowę, Oblubienico niebios!

HANUSIA

drząc z dziecinnej radości.

Wiesz co, Siostro Marto? Ogromnie się na tę śmierć cieszę!

Z nagłem powątpiewaniem.

Wszak ty jesteś Siostra Marta?

DJAKONISA.

Tak.

HANUSIA.

Naturalnie! Ale nie! Moja mama przecież jesteś?..

DJAKONISA.

Tak.

HANUSIA.

I jedna i druga jesteś? Jakże to?

DJAKONISA.

Dzieci niebios są jednem w Bogu.

KRAWIEC.

Za przeproszeniem, księżniczko Hanusiu!

Przyklęka przed nią z szklanemi pantofelkami.

Najmniejsze trzewiczki w całem państwie. Wszystkie panny mają do nich za duże nogi! Józia, Rózia, Lina, Mina, Basia, Kasia, Zosia i Małgosia!!

Nakłada jej trzewiczki.

W sam raz! W sam raz! Znalazła się narzeczona dla Królewicza! Panna Hanusia ma najmniejsze nóżki!

Powstaje.

Gdyby znów czego było potrzeba polecam się. Sługa! Uniżony sługa!

Wychodzi szastając się w ukłonach.

HANUSIA

mocno wzruszona.

Ledwie doczekać mogę, Mamo!

DJAKONISA.

To już i lekarstwa brać nie trzeba.

HANUSIA.

A nie!

DJAKONISA.

Za chwilę będziesz zdrowa, jak ta rybka w wodzie.

HANUSIA

przytwierdza z uśmiechem.

Ale!

DJAKONISA.

To pójdź i połóż się na swem łożu śmierci.

Ujmuje lekko Hanusię za rękę i prowadzi zwolna do łóżka, na którem się Hanusia kładzie.

HANUSIA.

Przecie raz się dowiem, co to znaczy umierać!

DJAKONISA.

Dowiesz się, Hanusiu!

HANUSIA

leży na wznak, ręce jak gdyby około kwiatków złożone.

Mam mój Zakład!

DJAKONISA.

Przyciśnij go mocno do piersi!

HANUSIA

z budzącym się na nowo przestrachem na anioła patrzy.

Więc to się stać musi?

DJAKONISA.

Musi!

Słychać z oddalenia dźwięki żałobnego marsza.

HANUSIA.

Teraz trąbią do grobu. Majster Sejfryd i muzykanty.

Anioł podnosi się.

Teraz wstaje...

Zawieja się wzmaga. Anioł zbliża się do Hanusi zwolna i poważnie.

Teraz idzie do mnie... Ach, Siostro... Mamo! Już nie widzę ciebie! Gdzie jesteś?..

Do anioła błagalnie.

Kończ prędko, ty niemy, czarny duchu!

Drżąc, jakby pod wielkim ciężarem.

Tak ciśnie... ciśnie... jak kamień..

Anioł podnosi zwolna miecz.

Chce... chce mnie... chce mnie zupełnie... zabić!..

W najwyższej trwodze.

Ratuj, Siostro!

DJAKONISA

staje między Hanusią i aniołem, broniąc mu przystępu i uroczystym gestem ręce na sercu Hanusi kładzie. Mówi z majestatem, namaszczeniem i siłą.

Nie uczyni tego! Oto na twem sercu kładę obie moje poświęcone dłonie!

Czarny anioł znika. Chwila ciszy. Djakonisa składa ręce i z łagodnym uśmiechem na Hanusię patrzy, poczem się pogrąża w niemej modlitwie, poruszając wargami bez głosu. Dźwięki żałobnego marsza brzmią ciągle. Słychać teraz stłumiony tupot wielu nóg, stąpających ostrożnie. W środkowych drzwiach ukazuje się nauczyciel Gottwald. Marsz żałobny cichnie. Gottwald jest ubrany, jak na pogrzeb, czarno, w ręku trzyma bukiet bzu.

Ze czcią odkrywa głowę i odwraca się za siebie, z gestem nakazującym spokój. Przez drzwi otwarte widać dzieci z wiejskiej szkółki, chłopców i dziewczęta, w świątecznych ubiorach. Na ruch Nauczyciela przerywają szepty, cichną i stanąwszy w zbitej kupce, nie śmieją przestąpić progu. Gottwald zbliża się z uroczystą twarzą do modlącej się ciągle Djakonisy.

GOTTWALD

stłumionym głosem.

Dzień dobry, Siostro Marto!

DJAKONISA.

Bóg Cię pozdrów, panie Gottwald!

GOTTWALD

wstrząsa żałośnie głową patrząc na Hanusię.

Biedne maleństwo!

DJAKONISA.

Nie należy się smucić. Osiągnęła spokój, i ja jej spokoju życzę.

GOTTWALD.

Tak. Jej już błogo. Ona już wyzwolona od trosk i od bólów.

DJAKONISA

zapatrzona w Hanusię.

Jak piękna leży w swej ciszy!

GOTTWALD.

Piękna!

Z nagłem wzruszeniem.

Kwiatuszku mój najmilszy! Jakżeś się cudnie w śmierci swej zakwiecił!

DJAKONISA.

Umiłowała Boga, i Bóg ozdobił ją.

GOTTWALD.

Tak. Dobra była. Pobożna.

Wzdycha. Otwiera książkę do nabożeństwa i patrzy w nią stroskany.

DJAKONISA

patrzęc razem z nim w książkę.

Nie trzeba się skarżyć. Cichym, cierpliwym trzeba być!

GOTTWALD.

Ach, mnie ciężko!

DJAKONISA.

Że już zbawiona?

GOTTWALD.

Że mi uwiędły kwiaty dwa...

DJAKONISA.

Gdzie?

GOTTWALD.

Dwa fijołki, które tu w książce mam. To są umarłe oczy mej Hanusi.

DJAKONISA.

Odkwitną one tam, w bożym ogrójcu!

GOTTWALD.

Długoż mam jeszcze Panie pielgrzymować, po tej łez dolinie?

Zmienia głos, dobywa nuty i z rosnącem zainteresowaniem się mówi.

Jakże się siostrze zdaje? Tu najpierw w domu myślę odśpiewać z dziećmi chorał: „Jezu, Tyś nadzieja moja..."

DJAKONISA.

Tak. To jest piękny chorał, a Hanusia Mattern była dzieckiem wierzącem.

GOTTWALD.

A tam, na cmentarzu, odśpiewamy później: „Już mnie puśćcie".

Z cicha zaczyna intonować, lekko wybijając takt na książce ręką.

Już — mnie — puść — cie — z ziemi, pro — ga
Że — bym — mo — gła — uj — rzeć Boga.

Dzieci wtórzą z cicha. Gottwald urywa i zwraca się do nich.

Dzieciaki! a ciepło wy odziane? Bo to tam na cmentarzu będzie zimno, bardzo zimno! Pójdźcie tu bliżej!

Dzieci wchodzą i obstępują uroczyście łóżko.

Patrzcie, jaka piękna po śmierci, ta mała droga dziewczynka!

W łachmanach za życia chodziła. a teraz na niej szaty jedwabne. Boso po drogach biegała, a teraz ma szklane trzewiczki. Wkrótce zamieszka w złotym zamku i codzień pieczeń jeść będzie. Tu musiała zimnemi kartoflami żyć, i jeszcze ich nie miała do syta. Nazywaliście ją łachmaniarką, a teraz ona będzie królewną. Więc jeśli jej które z was co zawiniło, a chce ją przeprosić niech zrobi to zaraz, bo inaczej powie ona o krzywdzie swej przed Bogiem i źle się będzie takiemu działo.

MAŁY CHŁOPCZYK

występuje nieco naprzód.

Droga królewno Hanusiu! Przepraszam cię, i nie mów przed Panem Bogiem żem cię zawsze łachmaniarką nazywał,

RESZTA DZIECI

jedno przez drugie.

Przepraszamy cię... bardzo! bardzo!

GOTTWALD.

No dobrze już! Już wam ta biedna Hanusia przebaczy! Idźcież teraz i czekajcie na mnie!

DJAKONISA.

Pójdźcie, dzieci! Zaprowadzę was tymczasem do drugiej izdebki, i powiem wam, co macie czynić, żeby zostać tak pięknemi aniołami, jak wkrótce Hanusia zostanie!

Idzie naprzód. Dzieci za nią. Drzwi się zamykają.

GOTTWALD

sam przy Hanusi. Wzruszony kładzie u nóg jej kwiaty.

Hanusiu moja droga! Otom ci jeszcze przyniósł bzu trochę...

Klęka u łóżka i mówi głosem drżącym.

Nie zapomnij — że ty o mnie, w szczęśliwości swojej!

Przyciska łkając, czoło do jej sukni.

Serce mi pęka, że cię tak żegnać muszę!...

Słychać głosy. Gottwald podnosi się i przykrywa Hanusię chustką. Wchodzą dwie starsze, czarno ubrane kobiety z książkami do nabożeństwa, o żółto malowanych brzegach i białemi chusteczkami w ręku.

I KOBIETA

rozglądając się po izbie.

To my tu pierwsze.

II KOBIETA.

A nie! Pan Nauczyciel już jest. Dzień dobry, panie Nauczycielu!

GOTTWALD.

Dzień dobry!

I KOBIETA.

Musiało to pana bardzo zmartwić, panie Nauczycielu! Dziecko było dobre, pracowite, pilne...

II KOBIETA.

Czy też to prawda, co ludzie gadają, że niby... sama sobie życie wzięła?

III KOBIETA

weszła w czasie rozmowy.

Byłby to grzech ciężki! Grzech przeciwko Duchowi Świętemu!

II KOBIETA.

Przeciwko Duchowi Świętemu? Dla Boga!

III KOBIETA.

Powiedział proboszcz, że taki grzech nie może być odpuszczony!

GOTTWALD.

A nie wiecie co powiedział Zbawiciel:
— „Dajcie dziateczkom przyjść do mnie!."

IV KOBIETA

wchodzi.

Oj świecie, świecie! A to ci zawieja! Nogi sobie ludzie na nic poodmrażają! Żeby aby Proboszcz pospieszał... Bo tam na cmentarzu śniegu więcej jak na łokieć...

V KOBIETA

wchodzi z pośpiechem.

Wiecie wy, ludzie! Proboszcz nie chce jej poświęcić. Nie chce jej w poświęconej ziemi chować!

PLESZKE.

N — n — nie wierz — wierz — rz — rzcie, ludzie! Nie! W — w właśnie, że uuuu proboszcza b — b — b — był Pan, taki piękny Pan, i po — po — powiedział, że H — H — Hanusia M — Mattern jest św — święta!

HANKE

wpada.

Szklaną trumnę niosą!

RÓŻNE GŁOSY.

„Szklaną trumnę! „Szklaną trumnę!"

SEIDEL.

Jeszcze my tu piękne rzeczy zobaczym! Jeszcze my się tu doczekamy! Tylko co Anioł przez wieś przeszedł. Jak Pana Boga kocham, Anioł wielki, jak topola! U stawu przy kuźni też dwóch siedzi, ale że są znów małe, jakby, nieprzymierzając dzieci. Albo łżę, albo zgadam, ale tak mi się wszystko widzi że ta dziewczyna równo czemś inszym była, nie prostą dziadówką.

RÓŻNE GŁOSY

między sobą.

„Czemś więcej"? — „Nie dziadówką... Szklaną trumnę niosą". „Anioł przez wieś przeszedł!"

Czterej młodzieńcy w bieli przynoszą szklaną trumnę i stawiają niepodal od łóżka Hanusi.

Ludzie przybyli na pogrzeb szepczą z ciekawością i zdumieniem.

GOTTWALD

unosi nieco chustkę. którą Hanusia jest przykryta.

Popatrzcież, ludzie, na tę umarłą!

I KOBIETA

zagląda ciekawie i nagle się cofa zdziwiona.

A toć ona ma włosy ze szczerego złota!

GOTTWALD

ściągając zupełnie chustę z twarzy Hanusi, otchnionej bladem światłem

I suknię jedwabną!. I szklane trzewiczki!..

RÓŻNE GŁOSY.

„Ach jaka piękna!" „Któż to taki?" „Kto to może być"? „Hanusia Mattern?!" „Hanusia Mattern?". Niepodobna!"

PLESZKE.

Dzie — Dzie — Dzie — Dziewczyna j — j — j—jes święta!

Czterej młodzieńcy kładą Hanusię ostrożnie do szklanej trumny.

HANKE.

Gadają ludzie, że jej nie będą chować...

I KOBIETA.

W kościele mają wystawić...

II KOBIETA.

Aż się wierzyć nie chce, że to nie żyje! Toć wygląda, jak życie samo!

PLESZKE.

D — dajcie ino — tttak, d — d — d — dajcie ino piórko — Ccco jej przed — d — d — d ustami potrzy-

mam! T—t—t—tak! To z—z—z—zobaczym zaraz, czy—czy je—je—je—jeszcze oddycha, cz—cz—czy—nie!

Dają mu piórko, które Pleszke ostrożnie trzyma przed ustami Hanusi.

PLESZKE.

Nie rusza się! Nie ż—ż—ż—żywa! Ani t—t—tyle w niej życia!

Pokazuje na końcu palca.

Ani krz—krz—krz—ty!

III KOBIETA.

Dam jej moją gałązkę rozmarynu! Niech się tam niebożątko ucieszy!

Wyjmuje z książki rozmaryn i w trumnę kładzie.

IV KOBIETA.

To i ja lawendę...

Ten sam ruch.

Niech jej tam pachnie!

V KOBIETA.

A gdzież ojciec?

I KOBIETA.

Prawda! Gdzież Mattern?

II KOBIETA

wzrusza ramionami.

Ach, Mattern! Gdzie ma być? W karczmie siedzi!

I KOBIETA.

To on może i nie wie o niczem?

II KOBIETA.

Ba! Jak wódkę przed sobą ma, to o świecie nie wie!

PLESZKE.

T—t—t—to mu nikt nie p—p—p—powiedział, że trupa w—w—w—domu ma?

III KOBIETA.

Co miał kto powiadać? Jak ojciec jest, to powinien sam ze siebie wiedzieć!

IV KOBIETA.

Nie chcę ja tam źle mówić o nikim, niech mnie Bóg broni, ale przecie wszystkim wiadomo, kto się dziewczynie do śmierci przyczynił.

SEIDEL.

Przecie! Cała wieś wie! Każdy wam to powie! Guz taki miała, że to jak moja pięść!

V KOBIETA

uderza dłonią w dłoń.

A co! Już gdzie taki przejdzie, tam trawa nie porośnie, nie!

SEIDEL.

Przecie my ją u pana Nauczyciela rozdziewali, tom widział. Guziol, powiadam wam ludzie, jak moja pięść! Tak cóż? Musiała umierać!

I KOBIETA.

Oj tak, tak! Już jej nikt na sumieniu, niebogi, niema, tylko Mattern!

Wszyscy żywo, i z gestami, ale szeptem mówią ze sobą.

GŁOSY.

Pewno, że nikt inszy!

I KOBIETA.

Zbój! Morderca!

GŁOSY

groźnie przyciszone.

Morderca! Morderca!

Słychać ostry, przenikliwy głos pijacki mularza Matterna.

GŁOS MATTERNA.

Spo — koj — ne — su — mie — nie —
Słod — kie — od — pocz — nie — nie!

Mattern ukazuje się we drzwiach.

Dziewucha! Dziewucha! Gdzie siedzisz, skórka na buty!

Zotacza się u proga.

Do pięciu rachuję, do pięciu czekam, a dłużej nie! Jeden... Dwa... Trzy... i... jeden... to... Dziewucha! Nie czekaj, aż się wścieknę! Tyle ci tylko powiem! Bo jak cię znajdę! kanaljo, a chwycę, to duszę z ciebie wytrzęsę!

Wpada zataczając się na pogrzebników, którzy stają w zupełnem milczeniu.

Wy tu czego?

Cisza.

Którędyście tu wleźli?

Cisza.

Djabli was tu nasłali? Co?

Cisza.

Wynoście mi się! Precz! Prędzej!

Śmieje się sam do siebie.

A to stójcie sobie! Znam ja te sztuki! Tfu! Człowiek trochę pałkę zalał, to mu się tak byleco majaczy...

Śpiewa.

Spo — koj — ne — su — mie — nie —
Słod — kie — od — pocz — nie — nie!

Zatrzymuje się.

Jeszczeście tu?

Z nagłą pasją oglądając się za czem po izbie.

Bo co znajdę — chwycę!

Wchodzi Nieznajomy, w zniszczonym płaszczu ciemnym. Lat ma około trzydziestu, długie, czarne włosy; twarz blad,ą z rysami nauczyciela Gottwalda. Kapelusz pielgrzymi trzyma w lewej ręce, nogi obute w sandały. Znużony jest drogą i okryty pyłem. Wszedłszy, przerywa pijackie krzyki Matterna, dotykając łagodnie jego ramienia. Mattern odwraca się gwałtownie. Nieznajomy patrzy mu w twarz z powagą i głębokim spokojem.

NIEZNAJOMY

dobrotliwie.

Bóg cię pozdrów, Majstrze Matternie!

MATTERN.

Czegoś tu wlazł? Czego tu chcesz?

NIEZNAJOMY

z pokorną prośbą w głosie.

Do krwi strudziłem nogi moje w drodze; daj mi wody, ażebym je obmył!

Gorącość słońca, opaliła mnie żarem, daj mi wina, abym się ochłodził.

Nic pożywałem chleba od poranku, od zaczęcia drogi mojej... Łaknę!

MATTERN.

A mnie djabli co do tego? To czego się włóczysz, po drogach? Pracuj! Do roboty się weź! To będziesz jadł. Ja także pracować muszę!

NIEZNAJOMY.

Pracownikiem jestem...

MATTERN.

Włóczęgą jesteś! Kto pracuje nie żebrze chleba!

NIEZNAJOMY.

Pracownikiem jestem—bez zapłaty...

MATTERN.

Włóczykijem jesteś!

NIEZNAJOMY

pokornie, ale przytem nalegająco.

Lekarzem jestem. Potrzebować mnie możesz.

MATTERN.

Nie jestem chory! Nie potrzebuję doktorów!

NIEZNAJOMY

głosem głęboko wzruszonym.

Majstrze Matternie, opamiętaj się! Choćbyś mi kropli wody nie podał—zbawię cię. I choćbyś mi kąsa chleba nie podał, uzdrowię cię. Tak mi dopomóż Bóg!

MATTERN.

Wynoś mi się, póki cały! Ruszaj zkądeś przyszedł! Kości w ciele zdrowe mam, i twoich leków nie chcę! Rozumiesz!

NIEZNAJOMY.

Majstrze Matternie, opamiętaj się! Ja ci sam nogi umyję, ja cię sam winem przedniem ochłodzę. Ja cię słodkim chlebem nakarmię. Stopę twoją postaw na głowie mojej, a ja i tak uzdrowię cię i zbawię! Tak mi dopomóż Bóg!

MATTERN

z hamowaną złością.

No, bo czekam i patrzę, czy ty się wynosisz, czy nie? A jak sam do drzwi nie trafisz, to ja ci drogę pokażę? Tyle ci tylko mówię!

NIEZNAJOMY

prostując się z powagą.

Majstrze Matternie! Czy wiesz co masz w domu?

MATTERN

Czego mi trzeba, to mam! Tylko ty tu niepotrzebny, więc ruszaj precz!

NIEZNAJOMY

z prostotą.

Córka twoja jest chora.

MATTERN.

Na jej chorobę nie trzeba doktora! Lenia ma, próżniaczysko! To jej choroba! Już ja ją z choroby sam wykuruję!

NIEZNAJOMY.

Majstrze Matternie! Jako poseł przychodzę do ciebie.

MATTERN

drwiąco.

A od kogóż to jegomość w posły do mnie przychodzisz!

NIEZNAJOMY.

Od ojca przychodzę i do ojca idę. Gdzieś podział dziecię jego?

MATTERN.

A licho ją wie, gdzie się włóczy! Cóż mnie tam jego dzieciak obchodzi! A on dbał o nią?

NIEZNAJOMY

z siłą.

Trupa masz w domu.

MATTERN

spostrzega leżącą Hanusię, zbliża się sztywny i niemy do trumny i przypatruje się mówiąc.

Skądżeś to wzięła taką suknię? Co? Kto ci to kupił taką trumnę? Co?...

Silny, tajemniczy szept przebiega w pogrzebowym orszaku. Słychać po wielekroć wymówione z oburzeniem słowo:

„Morderca"

MATTERN

z cicha — trzęsąc się.

Przeciem ja cię nie krzywdził! Przeciem cię odziewał! Przeciem żywił...

Zuchwale do Nieznajomego.

Czego ty chcesz odemnie? Czego ty się mnie czepiasz?

NIEZNAJOMY.

Majstrze Matternie! Czy masz mi co dopowiedzenia?

W gronie żałobnem szept coraz silniejszy, coraz groźniejszy. Coraz częściej słychać:

„Morderca!" „Morderca."

NIEZNAJOMY.

Czyli sumienie nic ci nie wyrzuca? Czyś jej nigdy nocą nie wyrwał ze snu? Czy nigdy, pod pięścią twoją nie padła, jak martwa?

MATTERN

przerażony, tracąc resztę przytomności.

Niech mnie grom!.. Niech mnie tu zaraz jasny piorun trzaśnie, jeślim ja co winien!

Słaba, modra błyskawica i grzmot oddalony.

Głosy i szepty.

„Burza idzie" Jakto? Burza? W zimie? „Sam się przeklął!"—„Dzieciobójca! Sam się przeklął!"

NIEZNAJOMY

z dobrotliwem naleganiem.

Czy i teraz, nie masz mi nic do powiedzenia, Matternie?

MATTERN

z rosnącym strachem.

Kto dzieci swoje kocha, karci je!... Ja dla tej dziewczyny dobroczyńcą byłem! Trzymałem ją w domu, jak własną... A jak była nicpoń, to musiałem bić!

Kobiety rzucając się ku niemu.

Morderca! Morderca! Morderca! Morderca!

MATTERN.

Dziewczyna mnie obełgiwała i oszukiwała! Kradła mnie na każdy dzień!

NIEZNAJOMY.

Prawdę powiadasz?

MATTERN.

Niech mnie tak skarze Bóg!...

W tej chwili w złożonych rękach Hanusi ukazują się kwiatki, owe kluczyki rajskie, z których wynika złotozielony żar... Mularz Mattern zatacza się w tył i patrzy jak skamieniały na zjawisko, od zmysłów nie ma odchodząc.

NIEZNAJOMY.

Skłamałeś, Majstrze Matternie!

Wszyscy

w najwyższem wzburzeniu, jedni przez drugich mówiąc.

„Cud!" „Cud!"

PLESZKE.

Aaaa nie — mó nie mówiłem, że dzie — dzie — dziewczyna święta? A — a — a — a t — ten przeklął się teraz i z ciałem i z d — d — d — duszą!

MATTERN

rycząc ze zgrozy.

Po — wie — szę się!

Wychodzi, obu rękoma cisnąc sobie skronie.

NIEZNAJOMY

podchodzi do trumny Hanusi i mówi zwrócony do obecnych. Ci wszakże cofają się ze czcią od tej wyniosłej i przemawiającej uroczyście postaci.

Nie lękajcie się!

Pochyla się i ujmuje rękę Hanusi, jakby probując życia, poczem mówi łagodnie.

Nie umarła dzieweczka, ale śpi!

Z najgłębszą wewnętrzną, świadomą siebie siłą.

Hanusiu Mattern, ja ci mówię: wstań!

Jasne złoto-zielone światło napełnia izbę. Hanusia otwiera oczy i zwraca się do ręki Nieznajomego, nie śmiejąc mu spojrzeć w oblicze. Zstępuje z trumny, i odrazu pada przed Wskrzesicielem na kolana. Obecnych ogarnia lęk. Uciekają. Z Hanusią zostaje Nieznajomy sam. Ciemny płaszcz spadł z jego ramion; odziewa go teraz biała, złotem lita szata.

NIEZNAJOMY

łagodnym, miękim głosem.

Hanusiu!

HANUSIA

w zachwyceniu, głowę pochyla jak może najniżej.

Oto — on!

NIEZNAJOMY.

Kto ja jestem?

HANUSIA.

Ty!.

NIEZNAJOMY.

Nazwij imię moje!

HANUSIA

szepce ze czią.

Święty... święty...

NIEZNAJOMY.

Ja znam wszystkie cierpienia i dolegliwości twoje!

HANUSIA.

Ty drogi... drogi...

NIEZNAJOMY.

Podnieś się!

HANUSIA.

Szata twoja bez zmazy, a jam pełna winy!

NIEZNAJOMY

kładzie prawą rękę na głowie Hanusi.

Oto odejmuję od ciebie wszelką nizkość ziemi.

Dotyka jej oczu, z łagodną przemocą podniosłszy jej głowę

Oto źrenicom twoim daję wieczne światło. Przyjmijcie w siebie słońca słońc i zwróćcie się ku słońcu. Przyjmijcie w siebie dzień wieczności, od zórz poran-

nych, aż do zórz zachodnich, i od zórz zachodnich, aż do zórz porannych. Przyjmijcie w siebie wszelkie światło świateł, błękit morza, błękit niebios, i zieleń łąk — na wieki.

Dotyka jej uszu.

Oto daję uszom twoim moc słyszenia miljonów anielskich chórów, i miljonów sfer brzmiących — na wieki.

Dotyka ust jej.

Oto rozwiązuję twój język z mowy, co była, jako niemowlęca, a kładę ci w usta ducha mego i ducha ojca mojego i ducha świętego — na wieki!

Hanusia drżąc na całem ciele usiłuje się podnieść, ale jest jakby przygnieciona nadmiarem rozkoszy. Wstrząsana łkaniem płacze cicho i tuli głowę na piersiach. Nieznajomego.

NIEZNAJOMY.

Łzami twemi obmywam duszę twoją z prochu i ran ziemi. A stopy twoje wywyższam po nad gwiazdy niebios!

Przesuwa rękę po schylonej główce Hanusi i mówi w takt słodkiej, rozbrzmiewającej muzyki.

We drzwiach ukazują się anielskie postacie: duże i małe, chłopięce i dziewczęce, zatrzymują się zrazu nieśmiało u progu, potem wchodzą, wstrząsają kadzielnice, zdobią izbę w kobierce i w kwiaty.

NIEZNAJOMY.

Królestwo boże przedziwny, cudny gród!
Nieznane łzy tam, ni wojny, ani głód.

Harfy zrazu z cicha — potem pełnymi tonami.

Z marmurów ściany, a złotem kryty dach,
Wino tam rzeką, w rubinu płynie skrach!
W ulicach kwiecie wiosenną roni woń,
Na wieżach w dzwony anielska bije dłoń!
Majowa zieleń oplata domów szczyt,
Powój je wieńczy i róż jutrzennych świt!
Łabędzi białych szeroki, płynny ruch,
Z szumem się strzępi ich srebrno-dźwięczny [puch,
W powietrze modre niesie je bystry prąd.
W lazurach grają ich duchy ztąd i ztąd.
I wiążą w zorzach girlandy białych szarf,
Trzymając pióra, jak struny złotych harf,
Na Syon patrzą, na ziemię, na toń mórz,
A ziemia płonie purpurą młodych róż,
A w zieleń leśną śnieżysty kryje kwiat,
Tam święci chodzą w białości swoich szat.
W ogromnem morzu szum wina zamiast wód,
A święci idą wśród szumu tego w bród,
A lazur morza, i piany srebrnej blask,
Obmywa pierś ich chryzmatem bożych łask.
A święci idą wskroś morza, aż na brzeg,
A krew Chrystusa wybiela ich nad śnieg!

Nieznajomy zwraca się do aniołów, którzy ukończyli swą pracę. Zbliżają się z nieśmiałą radością i otaczają półkręgiem Hanusię i Nieznajomego

NIEZNAJOMY.

Z lnów co najcieńszych weźcie tkankę białą,
— Gołąbki moje i turkawki moje —
Nakryjcie ono ubożuchne ciało,
Zmrożone zimnem, palone przez znoje.
Lekko, by iskry nie zgasić w niem życia,

Na wonne wzgórza, i na słodkie pasze,
Unieście w ciszy i bez skrzydeł bicia,
Przez blask miesięczny, strwożone to ptaszę,
Przez kwietne blonia, przez rajskie ogrody,
W świątyni ją mej powiedźcie ochłody!

Mała pauza.

Tam ją na puchy połóżcie łabędzie,
I strumień żywy, co srebną nić przędzie,
W alabastr lejcie, z mlekiem antylopy,
I z winem przedniem, by obmyć jej stopy.
Gdzie raj się kwieci i woń śle w niebiosy,
Jaśniny łamcie i bzy pełne rosy,
I deszcze na nią strząsnijcie perłowe,
I róż balsamem owiejcie jej głowę.
Zaś weźcie chusty jedwabne i drogie,
Jak płatki lilji białej, i szumiące,
Wino jej dajcie, co błyszczy jak słońce,
Leśne poziomki w jutrzennych kolorach,
Maliny, słodycz sączące bo borach,
Wonny ananas, puszyste brzoskwinie,
I granat, w którym sok purpurą płynie,
I pomarańcze, palące się złotem,
Na srebrnych misach podajcie jej potem,
Niechaj jej wargi orzeźwi radosny
Darów mych przepych wieczystej mej wiosny.
Niech się i wzrok jej rozkoszą upoi,
Roztulcie czasze stubarwnych powoi,
Na malachitów łąk świeżych kobiercu.
Wskroś niezabudek o złotem niech sercu,
Wskroś tullpanów, narcyzów niech kroczy,
Pod drżącem cieniem palmowych przezroczy,
A wszystkie barwy i blaski niech dwoi
Lustrzany strumień, co wiosnę mą poi

Na pola maków rozkwitłe rumieńcem
Obróćcie oczy sieroty spłakane.
Gdzie aniołowie igrają w swej krasie,
I gdzie Baranek bez zmazy się pasie.
Niech jej w powietrzu przesłodka woń dyszy.

CHÓR ANIOŁÓW.

Niesiemy cię — niesiemy lekko, w ciszy!
— Hozanna — przez niebios próg!...
— Hozanna — przez niebios próg!...

. . . . . .

Wczasie anielskiego śpiewu scena zaciemnia się. Śpiew ginie w mrokach coraz dalszy, słabszy...

Po chwili czyni się jasno, i znów widać izbę w domu ubogich, a w niej wszystko tak, jak było przed ukazaniem się pierwszego widzenia. Hanusia leży w łóżku, jako biedne chore dziecko. D-r Wachler pochylony nad nią z stetoskopem. Djakonisa trzyma świecę patrząc na Doktora w trwożliwem oczekiwaniu. Wreszcie śpiew milknie zupełnie.

D-r. WACHLER
prostuje się i mówi.

Masz słuszność, Siostro, umarła.

SIOSTRA MARTA.

Umarła?

Dr. WACHLER
przytwierdza smutnie ruchem głowy.

Umarła.

KONIEC.

MUZEUM MARII KONOPNICKIEJ BIBLIOTEKA ŻARNOWIEC

-60

Opuścił prasę

GERHARTA HAUPTMANNA

„DZWON ZATOPIONY"

w przekładzie Jana Kasprowicza.